

NR 2/2019, VIII LO IM. WŁADYSŁAWA IV W WARSZAWIE

MINUTNIK



KULTURALNY



Redakcja „Minutnika Kulturalnego”:

Kontakt: redakcja.minutnik@gmail.com

VIII LO im. Władysława IV w Warszawie, ul. Jagiellońska 38

Spotkania: co drugi poniedziałek, 8 godzina lekcyjna, sala 201

Zespół pod opieką p. prof. Renaty Karwowskiej:

Teksty: Karolina Bartnikowska (IIA), Julia Hejza (IIA),
Aleksandra Jendrzejewska (IIA), Izabela Krzykowska, (III GB),
Anna Kaczyńska (IIA), Jan Muchorowski (ID), Franciszek Ogidel (II B),
Tomasz Ratowski, (II A), Eliasza Rodrigo Pereira (ID), Dawid Sikorski (IA),
Agata Wiedz (II B), Maria Zamojska-Turska (IIA),
Ignacy Zieliński (IIA), Zofia Żak (III GB)

Rysunki w nr 2/2019: Daria Rusiłowicz, IIA

W NUMERZE DRUGIM „MINUTNIKA KULTURALNEGO”:

Ladies and Gentelman!	s. 4
Kilka minut rozmowy z p. prof. Edytą Kleczyńską	s. 5
Podwórkowe podróże w podwórkowej studni	s. 6
Ucieknijmy stąd...	s. 7
Jak latać samolotem	s. 9
Krowa ponad człowiekiem, czyli spojrzenie Europejczyka na Kubę	s. 11
Czekolada w weneckiej Caffè Florian	s. 13
Wiedeńskie szlaki...	s. 16
Piękna Polka w Hollywood	s. 18
Podróże morskie, czyli o kapitanie Krzysztofie Baranowskim	s. 20
Legenda polskiej piłki, czyli Kazimierz Deyna	s. 22
Teatralne refleksje... „Psie serce”	s. 24
Umarła wyspa	s. 26
Jeden krok od Ayers Rock	s. 28

LADIES AND GENTELMAN!

Cieszę się Drogi Czytelniku, że po raz drugi zdecydowałeś się na sięgnięcie po numer *Minutnika Kulturalnego*. Dziś w imieniu redakcji zapraszam w kolejną podróż. Zwiedzimy razem Wiedeń, Wenecję a nawet odległą Australię i Kubę, bo te miejsca odwiedzili w mijającym roku szkolnym piszący do *Minutnika Kulturalnego* Władysławiaczy. Po drodze napotkamy i poznamy biografie innych wspaniałych podróżników. Samolot naszego biura już szykuje się do lotu. Twoje bagaże już zostały wniesione. Proszę się nie martwić też o miejsce, starczy go dla wszystkich.

Chciałbym zwrócić też twoją uwagę na nowe nazwiska wśród załogi. Nigdy nie jeszcze zapóźno, by się do niej dołączyć! Tak jak wspominałem, wystarczy tylko przyjść do kokpitu. Znajduje się on na samej górze naszej maszyny na lewo od wejścia.

Rozgościłeś się już i usadowiłeś wygodnie? Zaraz startujemy! Byłbym zapomniał! Na siedzeniu przed Tobą znajduje się schemat dróg ewakuacyjnych. Mam jednak nadzieję, że nie będziemy musieli awaryjnie przerywać lektury. Mamy pozwolenie z wieży kontrolnej! Przypominam, by zapiąć pasy.

Uwaga: Tematem przewodnim tej eskapady jest **podróż**, bo Władysławiaczy właśnie udają się na wakacje. Dziękuję za uwagę i do zobaczenia na wakacyjnych szlakach.

Redaktor naczelny: Ignacy Zieliński, IIA

KILKA MINUT ROZMOWY Z P. PROF. EDYTĄ KLECZYŃSKĄ, NAUCZYCIELKĄ MATEMATYKI

Ignacy: Którą ze swoich podróży wspomina Pani najlepiej?

P. prof. E. Kleczyńska: Z sentymentem wspominam swoją podróż poślubną. Był to kilkudniowy spływ kajakowy. Nocowanie na bezludnej wyspie, jajecznicza z ogniska...

I.: W czasie wyjazdów wielu rzeczy nie da się przewidzieć. Czy pamięta Pani zaskakującą lub zabawną sytuację, która się Pani przydarzyła?

P. prof. E. Kleczyńska: Bardzo często wyjeżdżałam kiedyś pod namiot. Jednej z nocy nie zapomnę do końca życia. Namiot rozbiłam w świetnym miejscu – na górze z widokiem na jezioro. W nocy była burza z silnym wiatrem. Niestety namiot się porwał a deszcz zalał wszystkie moje rzeczy... A śmieszna sytuacja? Kiedyś znajomi zapomnieli śledzi do namiotu. Wyobrażacie sobie rozbijanie namiotu za pomocą łyżek, noży i widelców?!

I.: Czego, my Polacy, możemy się nauczyć od mieszkańców innych krajów?

P. prof. E. Kleczyńska: Bogactwem każdego narodu jest jego kultura. Wydaje mi się, że najciekawsze jest właśnie poznawanie jej. Nie uważam też, żebyśmy zawsze musieli się czegoś uczyć od innych. Jak w każdym kraju ludzie są różni. Mają wady i zalety.

I.: W jaki sposób spędza Pani czas wolny?

P. prof. E. Kleczyńska: Tego wolnego czasu nie ma zbyt dużo, ale latem lubię jeździć na rowerze (na przykład po Kampinosie), spacerować z rodziną i psem. A kiedy nadchodzą długie jesienno – zimowe wieczory uwielbiam grać w planszówki.

I.: Czy ma Pani swoją ulubioną książkę albo film?

P. prof. E. Kleczyńska: Trudno byłoby mi wskazać jedną ulubioną książkę... Lubię jeśli książka daje do myślenia, czegoś uczy, ale również bawi. Z filmami jest podobnie, nie potrafię wybrać jednego. Łatwiej byłoby mi wybrać ulubionych aktorów. Wskazałabym na Jacka Nicholsona, Demi Moore czy Tomasza Kota.

I.: Dziękuję za rozmowę.

PODWÓRKOWE PODRÓŻE W PODWÓRKOWEJ STUDNI

Tekst ten powstał trochę w wyniku mojego pecha. Rano kiedy wychodziłem z domu, omal nie zostałem potrącony przez trzykołowy rower z piratem u steru. Na szczęście nic się nie stało. (Trener naszej drużyny miałby nie mały problem z powodu mojej kontuzji w obliczu kolejnych spotkań Ligi Władka). Kiedy już chciałem wyjść na ulicę zobaczyłem pokracznie nakreśloną kredą mapę świata. To właśnie ta mapa przypomniała mi o wszystkich moich „podróżach“, które odbyłem na tym podwórku.

Napędzany ciekawością zwiedzałem kolejne części świata, żeglowałem po siedmiu oceanach, przemierzyłem Saharę, kopałem tunel do Chin i jestem też pewien, że zostałem pierwszym mieszkańcem tej kamienicy, który poleciał w kosmos!

Dlatego zawsze trudno mi jednoznacznie odpowiedzieć kiedy i gdzie byłem pierwszy raz zagranicą. Może to była tajemnicza wyprawa do Ameryki, a może miejscem, w którym byłem po raz pierwszy była afrykańska dżungla? W odróżnieniu od innych wielkich podróżników ja zawsze wracałem cało ze swoich podróży. Często wracałem ze wspaniałymi zdobyczami: kamienny ząb dinozaura, pióro z pióropusza wielkiego wodza Indian a nawet jeden grosz był cennym skarbem podróżnika! Mimo nachalnych próśb wszelkiej maści muzeów, nigdy ich nie oddałem na żadną ekspozycję.

Podróże mogą być bliskie i dalekie. Możemy udawać się na nie samolotem, pociągiem czy statkiem, jednak nie zapominajmy o naszych pierwszych dziecięcych, opartych na wyobraźni wyprawach. Mimo że nie poznaliśmy w ich czasie wielkiego świata, nie mamy z nich zdjęć i opalenizny, to dały nam one coś o wiele cenniejszego, bo pozwoliły odkryć siebie. Wydaje mi się, że to właśnie dzięki nim tak bardzo polubiłem już te prawdziwe podróże. Jednak przede wszystkim dawały mi one radość i wspaniałą zabawę na długie godziny. O! widzę właśnie, że trójkołowy bandyta znowu wyszedł na żer, tak więc z troski o swoje bezpieczeństwo muszę kończyć i wracać z tej ławki do bezpiecznego domu. Mam nadzieję drogi czytelniku, że przypomnisz sobie swoje dziecięce i podwórkowe podróże, które dzięki wyobraźni nie miały ograniczeń.

Tekst: Ignacy Zieliński

UCIEKNIJMY STĄD...

Czym byłby świat bez marzeń?

Marzenia motywują, dodają życiu kolorów, nie pozwalają się poddać. Niektórzy twierdzą nawet, że nadają sens całej naszej egzystencji. Każdy z nas słyszał jednak o zderzeniu oczekiwań z rzeczywistością. Co zrobić, kiedy codzienność, w jakiej żyjemy, daleka jest od ideału, problemy się mnożą, a my mamy wszystkiego dość? Rozczarowanie i frustrację najlepiej zamienić w zapal do działania. Ludzie jednak rzadko robią to, co powinni, dlatego wiele osób zamiast próbować coś zmienić – wycofuje się.

Eskapizm, bo tak brzmi fachowa nazwa tego zjawiska, najłatwiej zdefiniować jako ucieczkę od rzeczywistości. Dotyka wielu z nas i jeżeli nie zamieniamy się w uzależnienie, jest niegroźny. Prawie każdy wyobraża sobie czasami, że zamiast wracać do domu po ciężkim dniu pracy, skręca na lotnisko i wsiada w pierwszy samolot, zostawiając wszystko za sobą. Rutyna dnia codziennego potrafi przytłoczyć, zmęczeniu i sfrustrowaniu chcemy rzucić wszystko i wyjechać w Bieszczady, lub jeszcze dalej – na koniec świata, a najlepiej na inną planetę. Taka wycieczka rzadko kiedy bywa możliwa, dlatego ludzie uciekają tam, gdzie mogą – w świat fantazji.

W dzisiejszych czasach obserwujemy to na masową skalę. Uniwersum Harry'ego Pottera czy „Gry o Tron” w naszej kulturze żyje własnym życiem, a pojęcia typu *cosplay* czy *fanfiction* stały się częścią codziennego języka. Fikcyjne postaci dla niektórych są wzorami do naśladowania, przyjaciółmi, zdarzają się nawet ludzie w nich zakochani. To również jest formą nieszkodliwego eskapizmu. Może popularność Netflix'a wynika stąd, że dzięki serialom nie musimy wychodzić z domu, żeby przenieść się na brytyjski dwór, do Białego Domu, pełnego tajemnic małego miasteczka lub Kolumbii z lat dziewięćdziesiątych.

Ucieczką od rzeczywistości może być wszystko: książki, sport, muzyka, pisanie bloga lub wierszy. Niektórzy nawet mają swoje ulubione miejsca, czy to tajemniczą polanę w środku lasu, czy pokój na strychu pełen starych mebli. Eskapizm sam w sobie nie jest niczym złym, w końcu ludzie od zawsze uciekali od codzienności. Odcinając się od trudnej codzienności, ładujemy baterie, nabieramy pozytywnej energii. Podróż w głąb własnej duszy pozwala lepiej poznać siebie i swoje potrzeby.

Prawdziwy problem zaczyna się, kiedy jest to podróż z biletem w jedną stronę, a człowiek, jak Dom Cobb i jego żona w „*Incepcji*”, zaczyna tworzyć własny, wyimaginowany świat, wmawiając sobie, że iluzja jest rzeczywistością. Film jest oczywiście czystą fikcją, jednak utkwienie w marzeniach i ucieczka od odpowiedzialności bywa jak najbardziej możliwe i bardzo utrudnia funkcjonowanie w świecie. Nawet z najwspanialszych wakacji trzeba kiedyś wrócić.

Jednak małe *rendez-vous* z własną wyobraźnią nikomu jeszcze nie zaszkodziło. Czasami po prostu trzeba zrobić sobie przerwę, odpocząć od życia. Dzisiejszy świat stawia na aktywność i wielozadaniowość, rzeczywistość, w jakiej żyjemy, potrafi być przytłaczająca. Warto mieć pasję, która pozwoli wyrwać się z rutyny i przez moment zapomnieć o wszystkim. Mogą tą pasją być podróże.

Ucieknijmy stąd. Chociaż na kilka chwil...

Tekst: Julia Hejza, IIA

JAK LATAĆ SAMOŁOTEM

Co roku miliony pasażerów decydują się odbyć podróż w przestworzach. Przy wyborze tego środka transportu, nie bez znaczenia jest zapewne gwarancja wygody, jaką nas entuzjastycznie łudzi reklama linii lotniczych. Osoba pragnąca zażyć rozkoszy oglądania chmur na ich wysokości będzie musiała najpierw pokonać istny tor przeszkód, potocznie zwany lotniskiem.

Człowiek, który już dotarł o czasie na lotnisko, nie powinien ulegać złudzeniu, że z pewnością zdąży na wymarzony lot. Najgorsze ma jeszcze przed sobą. Najpierw będzie musiał wytrwać w zazwyczaj za długiej kolejce, by oddać swoją walizkę. Jeżeli pasażer, chcąc oszczędzić pieniądze, zrezygnował z tego dodatkowego elementu bagażu, to może skierować swe kroki wprost do kontroli bezpieczeństwa.

W tej części właściwie już rozpoczętej podróży wiele może się kojarzyć z piekłem Dantego. Zamiast wrót piekielnych są tutaj bramki elektryczne, których przejście jest początkiem trwającego o wiele za długo cierpienia. Kolejka jest porównywalna do peerelowskich. Trzeba jednak przetrwać wśród płaczących i krzyczących dzieci, ludzi domagających się pierwszeństwa oraz innych, walecznie broniących swojego stanowiska. Osobnik, który wytrzyma w tej atmosferze i dotrze do właściwej kontroli, napotka tam pracowników, którzy najprawdopodobniej z założenia będą go traktowali jak potencjalnie groźną personę. Co jakiś czas, jak się ma szczęście, można trafić na odmienny gatunek pracowników ochrony lotniska, czyli uśmiechniętych, ale jest on prawie tak rzadki jak czterolistna koniczyna.

Tak więc na tym etapie podróży pasażer musi się rozstać na wieczność z nożyczkami czy małym, szwajcarskim scyzorykiem. Dodatkowo, jeśli nie opróżnił dość pedantycznie swych kieszeni z monet i kluczy, to ochrona zapewni mu dodatkową kontrolę. Gdy wreszcie szaremu obywatelowi uda się przebrnąć przez to piekło, to zaraz będzie musiał się skoncentrować i zebrać całą siłę woli. Nadszedł moment przejścia przez strefę duty-free.

Brak czasu może tu uratować pasażera przed bankructwem, jeżeli jednak do odlotu jeszcze daleko, a on nie będzie ostrożny, to sytuacja staje się krytyczna. Ciekawostką tego rejonu lotniska jest to, iż mimo że z wielkim zapałem powiadamia się potencjalnych klientów o braku podatku przy zakupach, to zazwyczaj ceny są wyższe niż na mieście. Załóżmy, że klient zechce zakupić jedynie butelkę wody. Praktycznie niemożliwością będzie do-

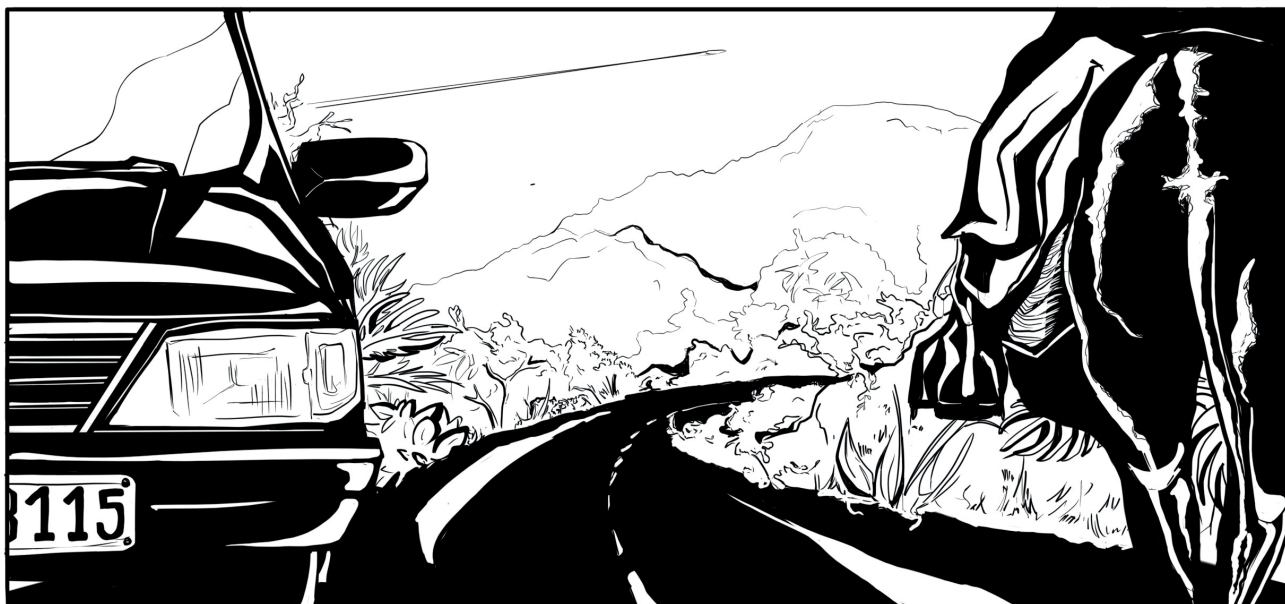
konanie tego wyczynu za cenę mniejszą niż 6 złotych. Gdy osoba przechodząca przez tę strefę zechce skorzystać z usług baru lub restauracji, napotka dodatkowo, oprócz równie astronomicznych cen, ogromną kolejkę.

Ćwicząc się w cnocie wytrwałości na końcu kolejkowego ogonka, pasażer będzie jeszcze musiał poczekać na spóźniony samolot, przejść przez bramki, wejść do samolotu i wśród tłumu poddenerwowanych ludzi znaleźć swoje miejsce. W tym momencie być może czuje się bezpiecznie, ale na dobry początek będzie musiał wysłuchać instrukcji bezpieczeństwa. Następnie, wielokrotnie podczas lotu, będzie zmuszony przyjąć z honorem bombardowanie reklamami towarów sprzedawanych na pokładzie, w tym jedzenia, które przecież nie jest za darmo. Wyjątkiem są pasażerowie linii zagranicznych, oraz Ci, którzy mają więcej pieniędzy do wydania. Ci lecą w pełnym luksusie.

A potem wszyscy oczekują na szczęśliwe lądowanie. Będzie ono tym cięższe, jeżeli pasażer będzie na tyle nieostrożny, by wybrać się w podróż będąc przeziębionym. Wtedy w najlepszym wypadku podczas obniżania się lotu (i jakiś czas później) będzie go straszliwie bolała głowa i uszy. Ale to przecież drobnostka, czyż nie? Po odnalezieniu upragnionego bagażu, pasażer będzie mógł opuścić lotnisko i ulubionym środkiem transportu udać się do hotelu lub domu. Szczęśliwych oczywiście odbierze znajomy lub rodzina.

Ale mimo tych wszystkich utrudnień cieszymy się, bo należymy do pokolenia, dla którego podróż podniebna jest tak oczywista jak jazda rowerem. Kto wie, czy w niedalekiej przeszłości wrót lotniska nie będzie strzegł tłum protestujących, którzy w trosce o Matkę Ziemię będą postulować o ograniczenie liczby lotów. Ale póki co czasem szybciej dolecimy gdzieś niż przemieścimy się z jednego końca na drugi naszego zakorkowanego miasta.

Tekst: Eliazs Rodrigo Pereira



KROWA PONAD CZŁOWIEKIEM, CZYLI SPOJRZENIE EUROPEJCZYKA NA KUBĘ

12 godzin. 720 minut. 43.200 sekund. Dużo, mało? Dokładnie tyle wystarczy, by pokonać 8,5 tysiąca kilometrów, czyli odległość dzielącą Lotnisko Chopina w Warszawie i Aeropuerto Abel Santa María w kubańskim mieście Santa Clara. Dokładnie tyle wystarczy, by wejść do innego świata, świata pełnego tajemnic, zagadek i paradoksów, i co więcej – nie mieć najmniejszej ochoty wracać do miejsca, z którego się wyruszyło.

Poznanie Kuby można zacząć już wysiadając z samolotu. Ze schodków bowiem rozpościera się widok na dwupasmową drogę, po której poruszają się różnego rodzaju lokalne środki transportu. Brzmi zwyczajnie, prawda? Warto jednak wyteżyc wzrok, by zauważyć, że tuż obok nieco podstarzałego poloneza caro czy fiata 126p z wyblakłą rejestracją, przemyka dwukonna bryczka, a zaraz za nią mężczyzna z cygarem w zębach, na nieosiodłanym starym osle. Co więcej, pytani o tę osobliwość pracownicy lotniska nie widzą w niej nic nadzwyczajnego; twierdzą, że nieraz bezpieczniej jest przemieszczać się drogami międzymiastowymi na osle. Dlaczego? Szansę, by się dowiedzieć, miałam dopiero kilka dni później, rozmawiając z Onielem – Kubańczykiem poznanym w Remedios.

Powodów, dla których Kubańczycy nieczęsto poruszają się samochodami, jest kilka. Najmniej zaskakującym jest fakt, że samochody są towarem droгим i luksusowym, tak jak w Polsce za czasów PRL-u. Słyszając to od Oniela, pokiwałam ze zrozumieniem głową;

przecież o sytuacji w Polsce sprzed roku 89' opowiadali mi rodzice i dziadkowie. Kiedy jednak dotarło do mnie jego kolejne zdanie, wydawało mi się, że się przesłyszałam. Musiałam upewnić się kilka razy, zanim przekonałam się, że to nie jest żart – Kubańczycy boją się, że jadąc samochodem, mogą potrącić krowę, która wbiegnie na drogę. A za zabicie krowy grozi kara do 25 lat pozbawienia wolności. Dla porównania – za zabójstwo człowieka kara wynosi od 5 do 10 lat. Ta sprawa okazuje się jeszcze bardziej kuriozalna, gdy dołożymy informację, że kubańską narodową potrawą jest 'ropa vieja' (hiszp. stare ubrania), czyli szarpana wołowina.

To wszystko stanowi jednak dopiero początek zaskoczeń, które czają się na każdym kroku. Mieszkańcy Ameryki Łacińskiej są znani na całym świecie ze swojej niezwyklej religijności; ok. 70% z nich to katolicy, a obchody Semana Santa (pol. Wielki Tydzień) czy Dia de Muertos (święto powiązane z Zaduszkami) angażują całe społeczności na wiele tygodni. Z kolei zdecydowana większość Kubańczyków pozostających w tym właśnie kręgu kulturowym jest wręcz wybitnie niereligijna, a procent katolików wśród Kubańczyków wierzących jest naprawdę znikomy. Według szacunków ok. 80% wyznaje religię znaną jako Santeria, bądź Regla del Ocha i będącą syntezą nigeryjskich pogańskich wierzeń oraz katolicyzmu.

Specyficzna religia Kubańczyków doskonale odzwierciedla ich styl bycia i postrzegania codzienności. Wyznawcy Santerii wykorzystali wizerunki świętych katolickich, czyniąc z nich bóstwa strzegące najdrobniejszych problemów życia codziennego. W ten sposób ludzie mieszkający w warunkach niewyobrażalnych dla Europejczyków, zarabiający średnio 25€ miesięcznie, żyją naprawdę szczęśliwie, nie przejmując się tym, co przyniesie jutro. Śpiewają, grają, tańczą i cieszą się tym, co tu i teraz. Wierzą bowiem, że ze wszystkim mogą sobie poradzić, a w razie potrzeby mają bogów, których mogą prosić o pomoc.

Dziś, mimo że era samolotów zbliża do siebie najodleglejsze zakątki Ziemi, nie każdy ma okazję do poznania kultury krajów tak egzotycznych z punktu widzenia Europejczyka. Warto jednak nauczyć się od Kubańczyków radości dnia codziennego, pozwolić czasem ponieść się chwili i cieszyć się z tego, co mamy.

O swojej podróży na Kubę opowiedziała Agata Widz, II B

CZEKOLADA W WENECKIEJ CAFFÈ FLORIAN

Wenecja. *La Serenissima*. Najjaśniejsza. Miasto Kanałów, Mostów i Masek. Według niektórych źródeł odwiedza ją rocznie od 20 do nawet 30 milionów turystów rocznie i w tej grupie znalazłem się także ja. Cóż takiego przyciąga tych wszystkich ludzi? Według mnie to niezwykle czar i piękno tego miejsca, które od setek lat zachwyca cały świat.

Najważniejszym punktem na mapie miasta jest oczywiście *Piazza San Marco*. Malowniczy plac, nazwany tak od bazyliki, w której mieszczą się relikwie patrona Wenecji – świętego Marka Ewangelisty. Bazylika, zwana również *Chiesa d'Oro* (czyli Kościół ze Złota), została wybudowana we wschodnim stylu i przypomina swoją architekturą konstantynopolitańską Hagie Sofię.

Co ciekawe, w efekcie IV wyprawy krzyżowej, która skończyła się złupieniem Konstantynopola, wiele dzieł sztuki zrabowano i przywieziono do Wenecji. Wśród nich znajdowały się rzeźby i kolumny, które zostały wprawione w fasadę kościoła, ale również grupa czterech antycznych rzeźb końskich zwanych Rumakami Lizypa, które umieszczone zostały nad wejściem do Bazyliki i przez niemalże sześćset, aż do zdobycia miasta przez Napoleona, symbolizowały siłę Republiki Weneckiej. Dzisiaj ich miejsce zajmuje replika.

Zdobiona mozaikami Bazylika sprawia niesamowite wrażenie. Odmienna od większości europejskich kościołów, niemalże egzotyczna, a przy tym tak bardzo pasująca do tego miasta, naprawdę zachwyca. Wenecja przez stulecia była bramą łączącą Zachód ze Wschodem i to nie tylko w kwestii handlu, ale również kultury, co widać na każdym kroku.

Do najbardziej niesamowitych i niezwyklej doznań, jakie można przeżyć w Wenecji, niewątpliwie należy odwiedzenie słynnego Caffè Florian. Otwarta 29 grudnia 1720 roku kawiarnia jest najstarszym nieprzerwanie działającym lokalem tego typu. Mieści się, a jakżeby inaczej, na placu św. Marka, lecz to, co urzeka najbardziej, to oryginalny osiemnastowieczny wystrój wnętrza. Pijąc tutaj nawet najzwyklejszą czekoladę, można naprawdę poczuć się tak, jakby czas się tutaj zatrzymał.

Warto też wspomnieć o tym, że Caffè Florian przez swoją niemal trzystuletnią historię miało okazję ugościć wiele znanych osobistości. Do tego zaszczytnego grona zaliczają się oczywiście weneccjanie tacy jak Goldoni czy Casanova, ale również takie sławy jak

Rousseau, Goethe, Byron, Dickens, Monet, Hemingway, Warhol czy Chaplin, który wpisując się do księgi pamiątkowej napisał tylko dwa słowa: „Food. Excellent”.

Słynną kawiarnię odwiedzali również goście z Polski tacy jak Artur Rubinstein, czy Józef Ignacy Kraszewski, który w swoich „Kartkach z podróży 1858-1864” pisał: „Z kawiarni, które się tu mieszczą w wielkiej liczbie pod arkadami Prokuracji, najznakomitszą, najślawniejszą jest Café Florian, głośnie w całej Europie. Podanie twierdzi, że od czasu założenia swojego ani na jedną godzinę nie była zamkniętą. Tłum największy ciągle ją otacza, posługacze czarnej kawy, lodów, limonady nastarczyć nie mogą. I weneccanie starzy, i cudzoziemcy najliczniej się tu zgromadzają około północy. Drugą po niej jest kawiarnia wojskowa Quadri, potem arystokratyczniejsza Sutil, gdzie jednak mniej dobre są lody i sorbety jak u Floriana.”

Wenecja była również nazywana „Republiką Muzyki”. To w niej tworzyli tacy muzycy jak Monteverdi czy Vivaldi. *La Serenissima* była również przez wiele lat jedną ze światowych stolic operowych, a stosunkowo młoda, bo zaledwie z 1792 roku, *La Fenice*, należy do najślawniejszych oper na świecie. Jej nazwa, po polsku „feniks”, dobrze oddaje jej historię „odradzania się z popiołów”. Została ona wybudowana po spłonięciu poprzedniego głównej opery w mieście, *Teatro San Benedetto*. W 1836 pożar zniszczył niemal całe wnętrze teatru, lecz po roku odbudowy, znowu go otwarto. Całkiem niedawno, bo w 1996 roku *La Fenice* zostało w wyniku podpalenia zniszczone przez ogień po raz drugi. Co ciekawe, większość zbiorów szczęśliwie ocalała, ponieważ znajdowały się ona wtedy na wystawie w warszawskim Muzeum Teatralnym.

Wenecja to miasto wyjątkowe. Jeśli nie najpiękniejsze (wszak jest to cecha przynajmniej po części subiektywna), to jedno z najpiękniejszych na świecie. Kanały zamiast ulic, gondole zamiast samochodów, pałace i kościoły zamiast wieżowców. Każdy widok w tym miejscu jest jak piękny obraz, a każda chwila, niczym spędzona w jakimś innym świecie, poza czasem i przestrzenią, a przecież to właśnie przychylność czasu i przestrzeni ukształtowały *Serenissimę*.

Chciałbym zakończyć wierszem Leopolda Staffa, pięknie opisującym ten zachwycający, magiczny skrawek Ziemi.

TRYPTYK SZTUKI WŁOSKIEJ.

I. VENEZIA.

*W głębi na smukłym słupie lew świętego Marka
Na błękitnem tle nieba i modrego morza,
Na którego laguny przedwieczorna zorza
Kładzie się barw polewą, głęboka i żarka.*

*Zśród koronek pałacu skamieniałych Doża
Kroczy, gdzie śni o Wschodzie Bucentaura barka,
Co rytmicznemi skrzydły zgodnych wiosel szparka
Kraje miękkie jedwabie wodnego podłoża.*

*A z brzegu patrzy Tycjan, co słońca promienie
Miast włosia wprawił w pendzel, światłem nawet cienie
Malując i zmieniając w słodycz morze stone.*

*A szum fali chwytają muszle mozaiki,
Szum, którego o zmierzchu dnia słuchał Giorgione,
On, który oblókł w ciało barw duszę muzyki.*

Tekst: Franciszek Ogidel, II B

WIEDENSKIE SZLAKI...

Niedawno miałem okazję odwiedzić ważny ośrodek kultury i sztuki w Europie – stolicę niegdyś wielkiego europejskiego cesarstwa, obecnie mniejszego państwa. Chodzi oczywiście o austriacki Wiedeń. W zwiedzaniu tego miejsca towarzyszyła mi moja siostra, z którą prowadziłem ciekawe rozmowy. Powodów podróży było dużo – głównym była niesamowita i niepowtarzalna okazja, jaka pojawiła się przede mną, otóż w Kunsthistorisches Museum miała miejsce wystawa sztuki niderlandzkiego XVI-wiecznego malarza i, o czym często się zapomina, grafika – Pietera Bruegela Starszego.

Oczywiście odwiedzając Wiedeń nie mogłem nie zobaczyć innych słynnych miejsc – Stephansdom, majestatycznej, górującej nad miastem katedry gotyckiej, gmachu Opery, ośrodka kultury i sztuki muzycznej czasów Wiednia Straussów czy Naturhistorisches Museum – gmachu ukazującego zbiory geologiczne, zoologiczne i botaniczne Habsburgów. Warta poznania jest sama atmosfera Wiednia – gwar kawiarni, zatłoczone ulice, stare i historyczne budowle, dlatego też większość odcinków pomiędzy kolejnymi punktami wycieczki przechodziłem z siostrą na piechotę, wsłuchując się w charakterystyczne odgłosy spacerujących po wiedeńskim bruku.

Wśród wspaniałości habsburskiego Wiednia niewiele rzeczy mogło jednak przysłonić główną atrakcję – obrazy Bruegela. Ten zbiór ponad 350-letnich prac autora jest pilnie chroniony przez muzea z całego świata, bowiem tak stare dzieła są bardzo podatne na uszkodzenia, odmalowania i inne problemy związane z ich wiekiem, co czyni transport rzeczą uciążliwą, a zatem rzadką. Warto było zatem przeznaczyć szybko mijający czas na poznanie kultury dawnych wieków.

Wystawa była uporządkowana – od wstępu ukazującego początkowe prace artysty, jego inspiracje, patronów czy losy jego dzieł, poprzez bardziej znane grafiki, aż po arcydzieła malarstwa światowego, które znajdują się w niemal każdym kompendium historii sztuki. Wbrew pozorom najbardziej zainteresowała mnie część środkowa – właśnie ze względu na to, że nie znałem większości tych prac. Odkrywanie nowego jest zawsze pewnym sposobem uzyskania przyjemności – to właśnie buduje w człowieku ten pęd ku wiedzy i poznaniu. O ile zatem wczesne dzieła ukazywały wizerunki podobne do innych artystów epoki renesansu, zaś późne, dojrzałe prace samodzielnie opisywałem na podstawie ilustracji, o tyle obrazy ze środkowego okresu twórczości miały rzeczywiście coś trudnego do uchwycenia, a czego nie ma żaden artysta tego okresu.

Bruegel zasłynął jako wielki malarz krajobrazów – nie jest to niezasłużona pochwała. Dynamiczne, pnące się w górę drzewa z skierowanymi ku górze gałęziami (wzorowane na rysunkach weneckich artystów ukazujących cyprysy), ostre, ośnieżone i wysokie góry, walka chmur burzowych ze słońcem, płynące powoli rzeki wpadające do morza lub dla odmiany – górski strumyk rozbijający się o skały – te wszystkie elementy budują wspaniały obraz przyrody, który zdaje się poruszać pod naszym wzrokiem. Obraz natury nie jest jednak wszystkim – bo Bruegel do tak przygotowanego świata wprowadza ludzi i ich dzieła. Dalekie duże miasta, bliskie wsie, wędrowcy czy pojedyncza łódka walcząca z przeciwnościami losu – człowiek jest wkomponowany w cały układ, tworząc z przyrodą jedną całość. Kolorystyka obrazów również znacząco wpływa na ich odbiór – najlepiej widać to w serii ukazującej pory roku, gdzie widać temperaturę obrazu oraz to, że jest na nim ukazany obraz, który artysta chciał ukazać nie takim, jakim go widzi, ale takim, jaki czuje. Wyjątkowe w pracach mistrza jest umiejętność oddania pędzlem, jak jest naprawdę – jaka jest temperatura, czy jest wiatr, czy osoby chodzą skulone w zimnie, czy chowają się w cieniu w obawie przed słońcem. Temu artyście, jak niewielu malarzom, udało się to na obrazach oddać.

Nie są to jednak obrazy typowe dla renesansu. Wystarczy przyjrzeć się sposobowi przedstawienia ludzi – koślawe, uproszczone sylwetki, często dziwnie zgięte, skulone, z brzydkimi twarzami – to nie są idealni ludzie z obrazów Michała Anioła czy ilustracji Leonarda da Vinci. Tutaj ukazuje się druga wyróżniająca cecha Breughla – jest on malarzem chłopów niderlandzkich. Wioska ukazana na każdym krajobrazie to mała, typowo flamandzka miejscowość, którą artysta przenosi na dany obraz. Stąd ludzie dalecy są od ideału, od świetnych matematycznych proporcji. Są zwykłymi chłopami – zajmują się przyziemnymi sprawami, nie odbiegają od zwykłego porządku. A może właśnie dlatego, że są całkowicie zwykli i niewyróżniający się, stali się w oczach artysty godni uwiecznienia? Najmocniejszą inspirację widać chyba w obrazach Hieronima Boscha – tam można szukać wskazówek pochodzenia wiejskich ludzi. Co dziwniejsze – ci ludzie nie psują krajobrazu, oni się w niego wpisują. Artysta nie idzie bowiem w stronę realnego oddania sytuacji – artysta oddaje nam charakter i odczucia, swoje wrażenia. To stanowi o wielkości jego dzieł.

Niestety, moja przygoda z Brueghlem musiała kiedyś dobiec końca (po, bagatela, 4 godzinach zwiedzania), a po jeszcze jednym dniu – także moja wiedeńska podróż musiała minąć. Powrót do Warszawy nie zakończył jednak mojej podróży – ta bowiem trwa nadal, tak długo jak codziennie jestem w stanie zobaczyć w miejskim krajobrazie sceny godne pędzla Breughla.

Tekst: Janek Muchorowski, ID

PIĘKNA POLKA W HOLLYWOOD

Polska aktorka Apolonia Chałupiec, bo tak właśnie nazywała się jedna z najpopularniejszych gwiazd filmowych kina niemego I połowy XX wieku, zachwyciła swą grą Hollywood. Podbiła serca widzów na całym świecie i największych sław dwudziestolecia międzywojennego. Rozkochała w sobie Valentino, gruzińskiego księcia Mdivani, a nawet Charliego Chaplina. Jej kariera aktorska nie ma sobie równych.

„Włóczęga” i „Madame du Barry”

Charlie Chaplin i Pola Negri poznali się w Niemczech na premierze filmu „Madame du Barry”, w którym Negri grała główną rolę. Już wtedy Polka zwróciła uwagę słynnego aktora, jednak ich związek rozpoczął się dopiero po przybyciu Poli do Hollywood. Był to najgłośniejszy romans początku lat 20. w USA. O tej burzliwej relacji rozpisywały się brukowce w całych Stanach. Związek z Chaplinem według niektórych wypromował Negri na rynku amerykańskim, ale również pogorszył stosunki z niektórymi aktorkami zazdrośnymi o Charliego i popularność Poli, bo polska aktorka cieszyła się coraz większą sławą.

W 1923r. aktorzy ogłosili zaręczyny, co było wielkim wydarzeniem w świecie filmu. Jednak wkrótce Stany obiegła wiadomość, że po kolejnej kłótni zaręczyny zostały zerwane. Sprzeczka spowodowana była ogłoszoną w prasie wypowiedzią Chaplina, który zażartował, że jest za ubogi na małżeństwo z Negri. Jednak kilka godzin później Pola oznajmiła, że postanowiła dać Chaplinowi drugą szansę, gdyż powiedział, że ją kocha i nie może bez niej żyć. Niedługo później doszło do rozpadu związku, którego przyczynami miała być zazdrość Chaplina, częste kłótnie i różnice wynikające z poczucia humoru. Charlie próbował ratować relację, ale Negri podjęła już ostateczną decyzję.

Po zakończeniu związku Chaplin tak powiedział o Poli: „Celowo unikałem jej, kiedy przyjechała do Hollywood, bo czułem, że skończy się to tak, jak się skończyło. Czy nie jest dziwne, jak instynktownie wyczuwamy los, który ma nas spotkać?”

Do zakochania jeden taniec

W 1925 r. Rudolph Valentino, uznawany za najprzystojniejszego mężczyznę tamtych czasów, którego kochały tysiące kobiet, po czasie spędzonym w Europie powrócił do

Hollywood, co wywołało wielkie poruszenie. Swoim znajomym wspomniał, że chciałby poznać Polę Negri, która w tamtym czasie była już bardzo rozpoznawalna. Ich wspólni przyjaciele dążyli do zaaranżowania spotkania, ale Pola unikała Valentino. W końcu doszło do ich poznania na balu kostiumowym. Jeden taniec wystarczył, aby Pola zakochała się w Rudolphie, a po następnym przyjęciu byli już parą. Wkrótce zakochani kupili dom w Beverly Hills, który nazywali „Sokole Gniazdo”. Valentino, chcąc ożenić się z Negri, musiał wyjechać do Francji, aby wziąć rozwód ze swoją żoną Natachą. Gdy ukochany bawił w Europie, do Poli doszły plotki, że Valentino romansuje ze znaną londyńską piękną – Lady L, lecz Valentino zapewnił ją, że są to tylko wyssane z palca kłamstwa. Jednak niedługo po powrocie Rudolpha do Stanów, Negri zastała Lady L w „Sokolim gnieździe”. Mimo to wybaczyła zdradę mężczyźnie swojego życia, wiedząc, że ich rozstanie złamałoby jej serce.

Niedługo Valentino znowu musiał wyjechać, tym razem na dwa tygodnie do Nowego Jorku. Pola próbowała przekonać ukochanego, żeby został z nią, ponieważ miała złe przeżycia co do podróży. Niestety słynny aktor nie posłuchał Negri i udał się na wschodnie wybrzeże. Obawy Poli sprawdziły się – jej niedoszły mąż zmarł w wyniku komplikacji po operacji wyrostka robaczkowego. Negri bardzo przeżyła tę stratę i już nikogo więcej nie pokochała tak, jak Rudolpha.

Po tragicznie zakończonym związku z Valentino, wielka aktorka wyszła za mąż za gruzińskiego księcia Mdivani, jednak wkrótce się rozwiódła. Pomimo sukcesów zawodowych i powodzenia u mężczyzn życie uczuciowe Poli Negri było trudne i burzliwe. Wielka aktorka zmarła w wieku 90 lat w San Antonio, jednak w pamięci kinomanów żyje do dziś. Warto wiedzieć, że w wielką podróż swojego życia do Fabryki Snów wyruszyła z małej miejscowości Lipino, a jej kariera w Hollywood przez Warszawę i Berlin, zachwyca do dziś.

Tekst: Iza Krzykowska, Zosia Żak

PODRÓŻE MORSKIE, CZYLI O KAPITANIE KRZYSZTOFIE BARANOWSKIM

Wśród ludzi morza niebanalną biografię ma Krzysztof Tadeusz Baranowski. Urodzony 26 czerwca 1938 r. we Lwowie jest żeglarzem, kapitanem jachtowym, dziennikarzem, nauczycielem oraz krótkofalowcem SP5ATV. Znalazł się w „Księdze rekordów Guinnessa”, Jak sam mówi, nie gromadził bogactw materialnych, ale w życiu kierował się pasją. Teraz planuje sprzedaż domu i usiłuje zbudować trzeci żaglowiec. Sam o sobie mówi: „Jestem żeglarzem, ale żyję z pisanie – a ostatnio z emerytury. Prowadzę Szkołę pod Żaglami i pływam na morzu po parę tygodni rocznie. Tyle samo czasu spędzam na nartach, ze szczególnym upodobaniem jeżdżę na bramkach (slalom gigant).”

ŻEGLARSTWO

Kapitan Baranowski to pierwszy Polak, który dwukrotnie opłynął samotnie kulę ziemską. Pierwszy rejs, trwający 372 dni, rozpoczął się 17 czerwca 1972r. od startu w regatach samotnych żeglarzy OSTAR z Plymouth (Wielka Brytania) do Newport (Stany Zjednoczone), w których zajął 12 miejsce. Następnie wyruszył w dalszą drogę dookoła świata, liczącą ponad 35 tys.mil morskich. Drugi rejs dookoła globu kapitan Baranowski postanowił odbyć w kierunku przeciwnym. Wypłynął 2 października 1999r. z portugalskiego portu Villamoura i powrócił w to samo miejsce 30 sierpnia 2000r. Sam kapitan przyznaje, iż był to dłuższy i zdecydowanie trudniejszy rejs, ze względu na warunki atmosferyczne, przeciwności losu oraz dolegliwości zdrowotne. Jednakże pokonał 24 tys. mil morskich trasą równikową, zawijając jedynie do 20 portów. Szlak jego podróży prowadził m.in. przez Wyspy Kanaryjskie, Karaiby, Kanał Panamski, Tahiti, Australię oraz Seszele. Jako pierwszy kapitan prowadził „Pogorię” w regatach „TALL SHIPS’ RACES 80” i w rejsie z naukowcami PAN na Antarktydę. Był pomysłodawcą, założycielem i prowadzącym tzw. „Szkoły pod Żaglami”, która od 1983 r. odbywała się na żaglowcu STS „Pogoria”, a od 1992 r. na żaglowcu STS „Fryderyk Chopin”, zbudowanym przez Fundację Krzysztofa Baranowskiego – „Międzynarodowa Szkoła Pod Żaglami”. Projekt ten polegał na wychowaniu młodzieży i kształtowaniu charakterów poprzez dyscyplinę, szacunek do drugiego człowieka i ciężką pracę. Okazał się sukcesem o zasięgu międzynarodowym, czego dowodem jest np. rejs „Szkoły pod żaglami” wokół Ameryki Południowej organizowany w latach 1988-1989,

w którym załoga składała się z uczniów USA, ZSRR i Polski. Krzysztof Baranowski miał również niechlubne karty w swojej historii. W roku 1981 został oskarżony o doprowadzenie do kolizji STS Pogoria z okrętem marynarki wojennej MS Generał Stanisław Popławski. Izba Morska obciążyła winą za spowodowanie kolizji kapitana „Pogorii” – w 80%, jednak załoga obecna wtedy na pokładzie żaglowca do dziś nie zgadza się z tą decyzją.

DZIAŁALNOŚĆ LITERACKA

W latach 60. XX wieku był redaktorem w Trybunie Ludu, gdzie zajmował się popularyzowaniem nauki, a od 1969 roku należał do PZPR, jednak przyznaje, iż nie interesowała go polityka, tylko korzyści wynikające z faktu przynależności do partii. Tłumaczy, że po prostu chciał wybudować jacht, a tak było najprościej. Od roku 1977 był także komentatorem TVP. W trakcie rejsów skrupulatnie prowadził dziennik pokładowy, który stanowił materiał do kolejnych książek związanych z żeglarstwem. Efektem takiej pracy są m.in. takie publikacje jak: „Kapitan Kuk”, „*Żaglem po Ameryce*”, „Droga na Horn”, czy „Uczucia oceaniczne”. W ten sposób kapitan Baranowski zarabiał na życie, realizował się pisarsko, ale także promował ukochany sport. W jednym z wywiadów kpt. Jacek Kijewski powiedział: „Wydaje mi się, że książki kapitana Baranowskiego wyciągnęły na morze wielokrotnie więcej ludzi niż działania innych żeglarzy”. Oprócz pisania Krzysztof Baranowski zajmował się nagrywaniem filmów. Czasem robił to w trakcie swoich rejsów, jednak niekiedy zbieranie materiałów filmowych było jedynie pretekstem do kolejnej podróży. W taki sposób powstał np. film pt. „Czekanie na wieloryba”. Takie zachowanie świadczy o jego kreatywności, a także uporze. Ponadto Kapitan Baranowski był redaktorem naczelnym czasopisma *Jachting*, a od 2008 również członkiem rady programowej Polskiej Fundacji Morskiej.

PRAWDZIWA MIŁOŚĆ

W swojej najnowszej książce pt. „Spowiedź kapitana” Baranowski wspomina o swej największej miłości, czyli pięknej prezenterce telewizyjnej Bogumile Wander. Kapitan uważa, że to najpiękniejsza kobieta w Polsce.

Kapitan Baranowski jest postacią niezwykle zasłużoną, jednocześnie osobą kontrowersyjną i bezkompromisową. Na skutek swojego uporu, nieugiętości oraz zawziętości stracił wielu przyjaciół, a także żaglowce, których wybudowanie graniczyło z cudem, w tym jakże trudnym momencie historii Polski. Osiągnięcia oraz doświadczenia Kapitana Baranowskiego są godne podziwu, dlatego zachęcam do zapoznania się z jego wywiadami, książkami lub reportażami. Kto wie, może ta postać stanie się autorytetem i inspiracją również dla kogoś z was.

Tekst: Aleksandra Jendrzewska, IIA

LEGENDA POLSKIEJ PIŁKI, CZYLI KAZIMIERZ DEYNA

Rok 2019 dzięki inicjatywie Legii Warszawa jest Rokiem Kazimierza Deyny. Ten mający swoje wyjątkowe miejsce w historii polskiej piłki sportowiec przy Łazienkowskiej grał przez 12 lat i jest obok Lucjana Brychczego największą legendą stołecznego klubu.

Urodzony 23 października 1943 roku w Starogardzie Gdańskim chłopak, stawiał w tym mieście pierwsze piłkarskie kroki w barwach ZKS-u Włókniarza Starogardu Gdańskiego. W barwach tego klubu jako trampkarz zdobył wicemistrzostwo Wybrzeża w 1962 roku ulegając Lechii Gdańsk w finale, również regularnie był powoływany do kadry okręgu juniorów Gdańskiego Okręgowego Związku Piłki Nożnej, z którą uzyskał srebrny medal w rozgrywkach o Puchar Michałowicza.

Następne lata były dla niego przełomowe, ponieważ 10 października 1965 roku udało mu się zadebiutować w reprezentacji Polski juniorów w meczu przeciwko Czechosłowacji. W tym samym roku został zawieszony w sumie na 12 miesięcy, z powodu podpisania przez jego rodziców kontraktu z Arką Gdynia, gdy był jeszcze piłkarzem Włókniarza. W wyniku zawieszenia nie mógł występować w meczach klubowych, a tylko w reprezentacji juniorów, odbywał w tym czasie treningi z drużyną Łódzkiego Klubu Sportowego, w barwach którego rezerw zadebiutował 2 października 1962 roku i już w pierwszym meczu przyczynił się do zwycięstwa zespołu 7-2 strzelając 5 bramek. Tydzień później zadebiutował w barwach ŁKS-u w najwyższej polskiej klasie rozgrywkowej w meczu z Górnikiem Zabrze zakończonym wynikiem 0-0.

Po jednym występie w barwach łódzkiego zespołu, Deynę czekał transfer do Legii, odbyło się to jak większość transferów Legii w tamtych czasach, czyli pod pretekstem powołania do wojska. W barwach Legii osiągał największe sukcesy w historii klubu, jak m.in. dotarcie do półfinału Pucharu Europy Mistrzów Krajowych. Deyna dla Legii rozegrał 389 spotkań, czym zajmuje 3. miejsce w historii klubu, zdobył również 141 bramek, a w tej klasyfikacji w historii klubu ustępuje on tylko Lucjanowi Brychczemu. Z Legią sięgnął 2 razy po mistrzostwo Polski i raz po Puchar Polski.

Równolegle ze stołeczną przygodą Deyny rozwijała się jego kariera reprezentacyjna, w której zadebiutował 24 maja 1968 roku. Był gwiazdą jedynej złotej polskiej drużyny, gdyż został królem strzelców Igrzysk Olimpijskich 1972 w Monachium, a Polska re-

prezentacja zdobyła jedyny w swojej historii złoty medal. Dwa lata później jako kapitan wywalczył z Polską reprezentacją brązowy medal Mistrzostw Świata w Niemczech. Na kolejnych Igrzyskach Olimpijskich Polsce udało się zdobyć srebrny medal, ulegając w finale reprezentacji NRD. Pesymistyczne było zakończenie jego dziesięcioletniej przygody z reprezentacją, zakończył on karierę reprezentacyjną po Mistrzostwach Świata 1978, podczas których to nie trafił karnego w spotkaniu przeciwko gospodarzom.

Przez długi czas władze państwowe uniemożliwiały Deynie transfer za granicę, ale w końcu w 1978 roku udało mu się przejść z Legii do Manchesteru City. 18 września 1979 zagrał on ostatni mecz na polskiej ziemi, jedną połowę zagrał w barwach Legii, natomiast drugą w barwach Manchesteru City, mecz wygrała Legia 2-1, a Deyna dla każdego z klubów strzelił po jednej bramce. W 1981 roku opuścił Anglię na rzecz Stanów Zjednoczonych, a w barwach the Citizens strzelił 13 bramek.

Kolejnym i ostatnim klubem w karierze Deyny był amerykański klub San Diego Sockers. W Ameryce Deyna grał nie tylko na boisku, ale również na hali. W sumie w San Diego zdobył 5 tytułów mistrzowskich. Karierę oficjalnie zakończył 31 maja 1987 roku, a im był starszy, tym bardziej zajmował się szkoleniem młodych piłkarzy. Miał niespełnione marzenie, aby wrócić do Polski i tu założyć własną szkołę piłkarską.

1 września 1989 roku wracając ze swojego ostatniego poprowadzonego treningu zginął tragicznie w wypadku samochodowym najwybitniejszy polski piłkarz – Kazimierz „Kaka” Deyna. Pochowany został na cmentarzu w San Diego, ale w 2012 jego prochy zostały sprowadzone do Polski i jego grób można odwiedzać na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie. Deyna miał też swój wkład w kulturę w dziedzinie kinematografii, zagrał bowiem w filmie Johna Hustona pt. „Ucieczka do zwycięstwa”, gdzie razem z nim zagrami m.in. Sylvester Stallone, Michael Caine czy byli piłkarze tacy jak Pelé czy Bobby Moore, kapitan Anglii, z którą zdobył Mistrzostwo Świata w 1968 r. Wspomniany przed chwilą Król Futbolu Pelésam powiedział o Deynie, że jest on bardzo dobrym piłkarzem, a zasługi „Kaki” dla Legii były tak duże, że najpierw w roku 2006 zastrzeżony został jego numer „10” na koszulce Legii, następnie w 2010 roku na nowym stadionie Legii trybuna wschodnia została nazwana imieniem Kazimierza Deyny. 6 czerwca 2012 roku odsłonięty został jego pomnik przed stadionem Legii.

O podróżach i sukcesach K. Deyny napisał Dawid Sikorski, I A

TEATRALNE REFLEKSJE...

„PSIE SERCE”

Bardzo ciekawi mnie literatura rosyjska, stąd też przeczytałem książkę „Psie serce” Michaiła Bułhakowa, z biletami w ręku i z wypiekami na twarzy, oczekiwałem na dzień przedstawienia sztuki opartej na tym utworze w Teatrze Współczesnym.

Maciej Englert – reżyser postanowił wystawić sztukę tradycyjnie, czyli bez skrótów, efektownie i monumentalnie. Taka klasyczna forma przypadła mi zupełnie do gustu. A dzięki znakomitej scenografii mogliśmy się poczuć niczym prawdziwi obywatele ZSRR. Pozytywnie oceniłbym również aktorów. Genialna rola Krzysztofa Wakulińskiego jako Profesora Preobrażeńskiego, czy też (widziany na korytarzach naszej szkoły) Borys Szyca odgrywający Szarika/Szarikowa. Dostarczyli oni publiczności wiele powodów do gromkich owacji.

Słów kilka jednak o samym przesłaniu „Psiego serca”. Michał Bułhakow chciał tym utworem nakłonić do refleksji o kilku problemach. Pisarz ten, znany powszechnie ze swojego negatywnego stanowiska do komunistycznej utopii, dokonuje po raz kolejny w swojej twórczości krytyki



tegoż. Dowodzą tego subtelnie wplecione w akcję opowiadania, indywidualne przemyślenia i refleksje Filipa Filipowicza Preobrażeńskiego. Sam Szarikow zresztą jest emanacją szczególnej grupy społecznej, którą zwykliśmy zwać jako: „homo sovieticus”. Oprócz fascynacji hasłami komunistycznymi, główny bohater jest zadufanym w sobie egoistą. Wydaje się to dość logiczne, zważywszy na „genealogię” tegoż bytu. Jednakże nie powinniśmy zapominać o pewnej metaforycznej płaszczyźnie opowiadania. Postać obywatela Szarikowa może być rozmaicie interpretowana. Jedną z nich jest pogląd głoszący, że Bułhakow za pomocą aluzji odniósł się w tym dziele do tajnych eksperymentów na ludziach w ZSRR. Dążyły one do stworzenia nowej rasy „nadczłowieka”. Jest to ciekawa ścieżka interpretacyjna. Za prawdziwością tej myśli świadczyłby opis rozmyślań Profesora. W finalnym momencie akcji jest on bliski przekonaniu, że dokonanie takiej transformacji (z odpowiednim skutkiem) jest niemożliwe.

Dzięki genialnej pracy aktorów łatwiej nam jest wyobrazić sobie np. postać ekscentrycznego, momentami rozwichrzonego Szarikowa (Borys Szyc), ale także Profesor Preobrażeński w kreacji Krzysztofa Wakulińskiego zyskuje na atrakcyjności. Barwna paleta bohaterów drugoplanowych z utworu została znakomicie przedstawiona przez: Szymona Mysłakowskiego (Bormentalow), Barbarę Wypych (Zina) i Joannę Jeżewską (Daria Pietrowna). Sądzę, że ten spektakl w znacznej mierze pozwala się nieco głębiej zanurzyć w świat prozy Bułhakowa.

Kończąc, spektakl „Psie serce” pośród wielu sztuk antycznych i współczesnych jest dość oryginalną „ofertą” warszawskiego Teatru Współczesnego. Mimo iż nie jest częstą praktyką wystawianie na deskach teatru opowiadania (a nie dramatu!) sądzę, że w przypadku dzieła „Mistrza słowa” zakończyło to się obopólną korzyścią. Ja osobiście czuję się ukontentowany obejrzanym spektaklem. Czytelnikom naszego pisma polecam serdecznie udanie się na „Psie serce” do teatru, jak również lekturę książki Bułhakowa.

Tekst: Tomasz Ratowski, IIA

OSTATNIA PODRÓŻ



Wyspa umarłych Arnold Böcklin, 1883 rok, Staatliche Museen w Berlinie

Skupiając się na motywie podróży trudno ominąć tak istotną kwestię jak ostatni przystanek każdego człowieka – śmierć. W pewnym sensie życie jest dążeniem do niej, jest podróżą do owej *Wyspy umarłych*.

Autorem tego obrazu jest Arnold Böcklin, szwajcarski artysta XIX wieku, dla którego temat śmierci był dosyć bliski – pochował on za swojego życia ośmioro swoich dzieci. Samo dzieło *Wyspa umarłych* istnieje w pięciu różnych wersjach, różniących się jednak nieznacznie. Na każdym widnieje tytułowa wyspa – mroczna, tajemnicza, obrośnięta cyprysami, cała skalista. To do niej zmierza postać obecna w łodzi. Być może jest ona tylko przewoźnikiem, mogącym kojarzyć się z Charonem, który zawoził dusze do krainy zmarłych. A może jest kimś więcej dla zmarłego niż tylko ostatnią eskortą? Bliskim pograżonym w żałobie? W łodzi obecna jest także trumna przykrytą tkaniną i nagrobny pomnik – ciało w niej złożone niedługo zostanie pochowane na wyspie wśród innych mogił, odchodząc na zawsze w zapomnienie ze świata żywych.

Cały nastrój obrazu jest ponury i melancholijny, wzbudza zainteresowanie i przyciąga uwagę odbiorcy, przypominając mu także o jego własnym przemijaniu. Można poczuć ciszę i ponury spokój obecny w przedstawieniu ostatniej podróży, uniewersalnej dla każdego człowieka.

Motyw wędrówki człowieka może być tematem podjętym i interpretowanym w różny sposób – Böcklin prezentuje nam jego ponure, ale romantyczno-symboliczne wydanie – przedstawia podróż mityczną do miejsca, w którym w wizji artysty znajdzie się każdy człowiek – do *Wyspy umarłych*.

Tekst : Anna Kaczyńska, IIA

JEDEN KROK OD AYERS ROCK

Australia-przez wielu kojarzona z kangurami, rozległymi pustyniami, zapierającą dech w piersiach Wielką Rafą Koralową. Niemal każdy chociaż raz w życiu słyszał też o ciekawej architektonicznie Operze w Sydney, przywodzącej swoim kształtem na myśl wspinały statek. Opera nie jest jednak jedynym charakterystycznym elementem tamtejszej kultury. To właśnie w Australii pojawiło się jedno z najstarszych na świecie plemion-Aborygeni. Wyruszymy więc w fantazyjną podróż i poznamy ich wyjątkową sztukę oraz niepospolite obyczaje.

Nie tylko Lascaux...

Myśląc o malowidłach naskalnych, prawdopodobnie od razu przypomnimy sobie grotę Lascaux, czyli jaskinię na terenie Francji, o której zapewne nieraz słyszeliśmy na lekcjach historii bądź plastyki. Należy jednak pamiętać, że prehistoryczne malarstwo rozwijało się też na antypodach, czego przykładem są malowidła w Parku Narodowym Uluru-Kata Tjuta, liczące blisko 30 tysięcy lat. Przedstawiają one historię stworzenia świata według Aborygenów. Epokę, w której powstał człowiek, fauna oraz flora określa się mianem Czasu Snu i to właśnie w trakcie snienia można tam powrócić i skontaktować się m.in. z Człowiekiem Gromem czy Tęczowym Wężem, czyli mitycznymi przodkami Aborygenów. Sprawowanie pieczy nad malowidłami powierzono artystom zwanym strażnikami, którzy mieli za zadanie czuwać nad odświeżaniem wizerunków. Do malowania używano tylko czterech kolorów: czerni, bieli, żółtego i brązowego. Co ciekawe, panowała zasada, wedle której kolory te nie mogły się ze sobą mieszać, ponieważ każdy z nich był święty i miał określone znaczenie.

Duchy i totemy

Aborygeni rozwinięli bogatą kulturę duchową. Stworzyli mitologię, w której ważną rolę odgrywały duchy, czyli swojego rodzaju bóstwa opiekuńcze, natomiast wybrane miejsca otaczali szczególną czcią. Najsłynniejszym z nich jest zapewne Uluru (zwane też Ayers Rock), czyli ogromna formacja skalna w środkowej części Australii. Według wierzeń została stworzona przez dwóch chłopców bawiących się gliną. W tym tajemniczym

miejscu często zdarzają się niefortunne wypadki, których ofiarą padają śmiałkowie nie-
respekujący zasad panujących na terenie świętej góry.

Dla przedstawicieli plemienia istotną rolę grała również pamięć o przodkach. Imponu-
jący jest fakt, iż niektórzy członkowie starszyny plemiennej znali ich imiona do kil-
kudziesięciu pokoleń wstecz. Aborygeni wierzyli w nadprzyrodzoną moc przedmiotów
i zwierząt, zwanych totemami. Zjedzenie totemu (np. emu lub kangura) dozwolone było
w nielicznych przypadkach i prowadziło do odkrycia jakiejś tajemnej prawdy; wierzo-
bowiem, że w totemach obecne są duchy zmarłych.

Sztuka z kropek

Aborygeni zapoczątkowali nowy ruch artystyczny - malarstwo kropkowe, który szybko
rozprzestrzenił się na Australię Zachodnią. Stało się to za sprawą nauczyciela plastyki-
Geoffa Bardona, który, zainteresowany wzorami rysowanymi na piasku przez dzieci,
zapropoNOWał przeniesienie ich na płótno. Przykładem malarstwa kropkowego jest mural
wykonany przez Aborygenów pt. „Sen miodowej mrówki”.

Didgeridoo

Ponadto, w powszechnym użyciu funkcjonuje wiele stworzonych przez przedstawicieli
plemienia nazw (kangur, koala, Kakadu). Popularny jest też jeden z najstarszych instru-
mentów świata o wdzięcznej nazwie didgeridoo (wyglądem przypomina bardzo długi,
nieco szerszy od nam znanego, flet).

***Aborygeni w liczbach**

Dzisiaj na terenie Australii żyje ponad 300 tysięcy Aborygenów, skupionych w ponad
500 plemionach. Począwszy od XVIII w. ich liczebność gwałtownie spadała w wyniku
kolonizacji Australii przez osadników z Europy. Obecnie zamieszkują obszary Australii
Zachodniej, Queensland i Terytorium Północnego. Część plemion żyje w wydzielonych
rezerwach, jednak wielu rdzennych mieszkańców włączyło się w życie australijskiego
społeczeństwa.

Tekst: Maria Zamojska-Turska , IIA

NAGRODĘ ZA ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z POPRZEDNIEGO NUMERU
OTRZYMUJE SZYMON KOTARBA, III GA.
GRATULUJEMY.

MIEJSCE NA KULTURALNE UWAGI WŁASNE



Ogłoszenie

Poszukujemy współpracowników: piszących, rysujących
i z umiejętnościami informatycznymi do składania tekstu.

Kontakt: prof. Renata Karwowska, Ignacy Zieliński, IIA